

Mirecki, Czesław

Wspomnienia z okresu okupacji hitlerowskiej i instalowania się 'władzy ludowej' (1939-1949) : wyróżnienie w konkursie "Płock i region płocki we wspomnieniach"

Notatki Płockie 51/4-209, 40-50

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

CZESŁAW MIRECKI

WSPOMNIENIA Z OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ I INSTALOWANIA SIĘ „WŁADZY LUDOWEJ” (1939-1949)

Wielokrotnie nosiłem się z zamiarem napisania wspomnień z mojej przeszłości, szczególnie z okresu okupacji hitlerowskiej i tzw. „wyzwolenia”. Wojnę przeżyłem na terenie gminy Brudzeń powiatu płockiego, podobnież tzw. „wyzwolenie”. Sądziłem, że warto dać świadectwo historii potomnym tym bardziej, że były to czasy bardzo przełomowe w historii Polski. Raz nawet, jakieś 25 lat temu, napisałem kilkadziesiąt stron maszynopisu, ale przerwałem pisanie i kiedy przejrzałem tekst nieco później to doszedłem do wniosku, że ani moje dzieci, ani wnuki, wychowujące się od urodzenia w USA, tych spraw nigdy nie zrozumieją (mimo, że pisałem po angielsku), a poza, kogo to może zainteresować... Szkoda czasu i atlasu. Zniszczyłem wszystko.

Dzisiaj żałuję, bo od wydarzeń, które zamierzam przedstawić, upłynęło już 60 lat i pewne rzeczy, które jeszcze pamiętałem niezłe przed ćwierć wiekiem, w międzyczasie zapomniałem. Na szczęście zachowałem pewne notatki, jakie zrobiłem kiedyś w latach 50. mieszkając w Niemczech. Ponownie więc zabrałem się do spisania tego i owego.

Moja działalność konspiracyjna zaczęła się od tego, że pewnego dnia w styczniu 1942 r. przyszedł do mnie do Sobowa Władysław Nowakowski, brat Marcjana, nauczyciela ze Strupczewa. Znałem go tylko z widzenia. Opowiedział mi o organizującym się na naszym terenie Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i kiedy wyraziłem zgodę na przystąpienie, zaprzysiągł mnie, polecając jednocześnie zorganizowanie sekcji w Sobowie. Poszedłem więc najpierw do Józefata Boguckiego na Ostrowcach (przed wojną student prawa i syn mojej matki chrzestnej Zofii Boguckiej). Okazało się jednak, że był on już zaangażowany w konspiracji. Wtedy kolejno wciągnąłem i zaprzysiągłem do ZWZ Tadeusza Gretkowskiego (obecnie mieszka w Nowej Zelandii i mam z nim kontakt), Hipolita i Stanisława Kwiatkowskich oraz Stanisława Kędzińskiego, który przed wojną służył w wojsku w CKM'ach.

Początki mojej działalności w konspiracji były dość komiczne – tak przynajmniej widzę to z perspektywy ponad 60 lat. Przez całą wojnę żyliśmy nadzieją, że prędzej czy później Szwabów szlak trafi i wciąż krążyły różne wiadomości pochodzące z różnych źródeł podawane z ust do ust, szczególnie jeśli były nie-

co lepsze, bo dobrych przez długi czas nie było. Wierzyliśmy w najbardziej fantastyczne, wyolbrzymialiśmy ich znaczenie i to podtrzymywało nas na duchu.

Pewnego dnia, chyba gdzieś w lecie 1942 r. wpadł do mnie ktoś z wiadomością, że Anglicy wylądowali we Francji, w Niemczech wybuchła rewolta, Hitlera aresztowano, nowy rząd ogłosił zawieszenie broni – jednym słowem wojna się kończy. Wiadomość ta pochodziła od kogoś kto właśnie wracał z Dobrzyńa i na własne oczy widział jak Polacy rozbrajają żandarmów. Podniecony z miejsca poleciałem do Sobowa do szwagra Władysława Radtkego, który z siostrą prowadził mały sklepik. Często im pomagałem i wiedziałem, że szwagier pod ladą zawsze miał pistolet. Powiedziałem mu o tym co się dzieje, obaj poszliśmy do obórki, wyciągnęliśmy schowany pistolet, obtarłem nieco wazelinę, złapałem trzech czy czterech chłopaków i postanowiliśmy, że pomaszujemy na Dobrzyń rozbrajać Niemców.

Kiedy dochodziliśmy już do folwarku w Kamienicy spotkaliśmy jakiegoś chłopinę, który jak się okazało właśnie wracał z Dobrzyńa. „Co się tam dzieje” – pytamy. „Ano nic” – odpowiada – „Szwaby panoszą się jak zwykle”. Nie bardzo mu wierząc, powiedzieliśmy mu o tym rozbrajaniu, na co gość się za głowę złapał ze zdumienia. „To na pewno jakiś niemiecki agent puścił taką kaczkę albo jakiś idiota zrobił bardzo głupi żart...” – powiedział. „Wy chłopaki spieprzajcie jak tylko możecie, bo gdyby tu żandarmeria nadjechała...”. Zanim skończył już wialiśmy przez żyto (nie drogą). Nie trudno się domyślić jak się obaj czuliśmy kiedy odniosłem szwagrowi pistolet.

Pod koniec 1942 roku ZWZ, POZ oraz kilka innych podziemnych organizacji zostało połączonych w Armię Krajową (AK), w związku z czym zaszyły pewne zmiany i dostałem nowe kontakty. Na naszym terenie (gmina Brudzeń) ukrywało się kilku członków Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), którzy też weszli do AK, a nawet pełnili w niej różne funkcje. Kilku znałem dobrze, ale tylko po pseudonimach i nigdy nie wiedziałem, ani nie próbowałem się dowiedzieć, kim byli, skąd pochodzili i kto ich ukrywał. Było to zgodne z regulaminem, żeby w razie „wsypy” i aresztowań nie wpadło zbyt dużo osób. AK była podporządkowana i kierowana przez emigracyjny Rząd Polski w Londynie. Wierzyliśmy, że Polska będzie oswobodzona przez zachodnich aliantów, ewentualnie przez

AK, kiedy po większej klęsce na którymś z frontów w Polsce wybuchnie powstanie i Niemcy skapitulują. Takie były wtedy nasze przekonania, a raczej pobożne życzenia.

Gdzieś w lecie 1944 roku władze AK dowiedziały się, że na naszym terenie pojawiają się polscy komuniści, zrzutki z Rosji, agenci, którzy organizując Armię Ludową (AL) przygotowują teren dla tzw. polskiego rządu (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego - PKWN), uzależnionego od sowieckiej Rosji. PKWN miał rozpocząć swoje rządy po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną. Bodajże w czerwcu zawiadomiono mnie, że bym był przygotowany, gdyby jakiś agent wpadł do mnie. Po dyskusji doszliśmy do wniosku, że należy z nimi „flirtować”, ewentualnie wyrazić chęć do wstąpienia do AL, udawać zwolennika komunizmu, by w ten sposób wiedzieć co oni robią i jakie mają zamiary.

Nie wiem czy to był przypadek, czy może ktoś im podsunął moją osobę, w każdym razie pewnego dnia zjawili się u mnie dwóch mężczyzn. Przedstawili się jako „Kuba” i zdaje się „Zygmunt”. Ten pierwszy był dość inteligentny i prowadził rozmowę, podczas kiedy ten drugi wyglądał i zachowywał się jak jego giermek. „Kuba” opowiadał mi, że był w Rosji i zna osobiście Bolesława Bieruta i Wandę Wasilewską. Pokazał mi także nagan z dedykacją od Stalina, który dostał za swoje zasługi. Mówił o organizowaniu AL, która po wejściu Rosjan stworzyć miała administrację i milicję. Z tymi potrzebami zupełnie się zgadzałem, bo przecież AK miało to samo zadanie. Wobec tego „przechrzciliśmy” istniejącą AK na AL. W ten sposób wilk był syty i owca cała. Zamierzaliśmy spotkać się znowu wkrótce, ale sowiecka letnia ofensywa robiła takie postępy, że 31 lipca 1944 r. nagle wszystkich młodych mężczyzn wywieziono podwodami do Borowiczek, do kopania okopów. Łało wtedy cały dzień jak z cebra i kiedy zajechaliśmy tam i rozmieszczono nas na nocleg po stodołach, byliśmy przemoknięci do suchej nitki.

Pracując w Borowiczkach trzeciego dnia podsłuchałem rozmowę dwóch pilnujących nas cywilnych Niemców. Jeden z nich, Putz, który zabrał gospodarstwo Kołowrockich w Sobowie, prosił innego, żeby go jutro zastąpił, bo on chce jechać do domu i przywieźć więcej odzieży wobec tego, że wywożą nas na Litwę, gdzie od wschodu zbliża się front. Nie bardzo miałem ochotę wyjechać na Litwę, wobec czego rano wyszedłem do szosy, przysiadłem się na wóz chłopca, który wioził cielaka i przyjechałem do Płocka, gdzie przeczekaliśmy do wieczora u kuzynów. Następnie zaś wróciłem do domu, ale musiałem się ukrywać i w domu nie sypiałem.

Wiosną tego roku, po wielokrotnych ostrzeżeniach, oddział AK (Dywersja/Sabotaż) wykonał wyrok na proniemieckim sołtysie w Łukoszynie, którego zwłoki znaleziono w jęczmieniu podczas żniw. Wyrok był wydany przez konspiracyjny sąd AK.

Broni posiadaliśmy bardzo mało i kiedy wywiad doniósł nam, że przyjechał na urlop jakiś Niemiec z Krzyżanowa z karabinem i pistoletem, ten sam oddział napadł go w domu i rozbroił.

Podczas okupacji wydawano wiele różnych podziemnych gazetek, drukowanych i powielanych w schronach i „melinach” z nasłuchu radiowego. Przeważnie były to wiadomości z BBC. Zdarzały się także komentarze i artykuły o zabarwieniu politycznym. Sam odbierałem taką prasę w Płocku, w domku na dobrzyńskich rogatkach. Nakład był oczywiście mały i gazetki te chodziły z rąk do rąk, ukrywane w różnych miejscach, w końcu ledwie czytelne. Z tytułów pamiętam tylko „Jutrzenkę Wolności” i „Biuletyn Informacyjny”.

W końcu sierpnia otrzymałem rozkaz, żeby w niedzielę 3 września w nocy, w ramach akcji „Burza” (ogólnopolskie powstanie), stawić się z moją sekcją w lesie w Gorzechowie na koncentracji AK. Należało wziąć ze sobą suchy prowiant na dwa dni, gdyż nocami mieliśmy próbować przedostać się do Puszczy Kampinoskiej, by po otrzymaniu broni ze zrzutów alianckich pomaszerować na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Byłem zdumiony, że 3 września w niedzielę w nocy stawiło się tak dużo ludzi. Około północy przyjechał jednak goniec z wiadomością, że Rosjanie odmówili lądowania samolotom alianckim, które miały dostarczać powstańcom broń. Wróciliśmy więc do domów.

Jesienią 1944 roku sypiałem ukryty na strychu obory. Dzięki temu nie podzieliłem losu mojego Ojca i wielu innych, których aresztowano 28 października 1944 w konsekwencji niepotrzebnego, niefortunnego i nieudanego zamachu AK na niemieckiego komisarza Reicha w Brudzeniu¹. Gestapowcy przyjechali do nas, przeszukali dom i kiedy siostra oraz kuzynka Janka Śniegocka, która była wtedy u nas, wystraszone z płaczem tłumaczyły im, że Ojciec poszedł do mleczarni, a mnie wywieziono do kopania okopów, odjechali i koło mleczarni aresztowali Ojca. Po kilkudniowym śledztwie i torturach zwolniono go (podobno wskutek tzw. „zawieszenia broni” między miejscowym dowództwem AK i gestapo). Choć wrócił do domu, to po kilku dniach zmarł na skutek obrażeń doznanych podczas śledztwa.

Pewnego wieczoru, gdzieś chyba w połowie grudnia 1944 r., graliśmy w karty u sąsiadów, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Gdy je otworzono, wszedł żołnierz w polskim mundurze z pepeszą na piersiach i nagle poznałem „Zygmunta”. Wyszedłem z nim, było ich kilku przed domem i powiedział mi, że przyszli zastrzelić Piotra Barskiego. Barski był w Sobowie tzw. „gospodarzem”, pomocnikiem sołtysa, Niemca Hintenberga. Wyznaczał podwozy, odstawy kontyngentów do Płocka itp. Był bardzo gorliwy w wykonywaniu swo-

ich obowiązków, często przesadnie i przez wielu nie był za to lubiany. Nie miałem jednak pojęcia kto mógł za to wydać na niego wyrok śmierci. Wiedziałem, że nie AK. Po długiej dyskusji udało mi się odwieść ich od tego zamiaru i odeszli.

Następnego dnia rano wychodzę na swoje podwórze i ku mojemu zdumieniu widzę, że drzwi od stajni są szeroko otwarte. Okazało się, że ktoś był tu w nocy. Znalazłem notes z zapiskami po niemiecku i jakieś spodnie, które natychmiast zniszczyłem. Nieco później wpadł ktoś z wiadomością, że w nocy jacyś partyzanci napadli i zastrzelili na Skaszewie Niemca Biegalkę, znanego z różnych okrucieństw w stosunku do ludności polskiej. Teraz już wiedziałem wszystko i tylko czekałem, kiedy gestapo bądź żandarmeria z psami złożą mi wizytę. Wyszedłem na pole w kierunku Michałkowa (i w kierunku na Skaszewo) i znalazłem jeszcze dwie sztuki odzieży. Psiakrew, jak gdyby umyślnie znaczyli drogę dla policji... Policja i gestapo były jednak zajęte aresztowaniami Polaków, których wielu, m.in. bracia Mincowie (mieli sklep w Dobrzyniu), życiem zapłaciło za ten wyczyn AL.

Na początku stycznia ze zgrozą dowiedzieliśmy się, że Niemcy zamordowali w lesie brudzeńskim Wacława Wiśniewskiego z Bądkowa i Wincentego Przybylskiego z Gorzechowa (obaj pracowali w urzędzie gminnym) oraz kilku innych. Obu dobrze znałem i ile razy byłem w gminie po jakiś Bezugschein czy po przepustkę do Płocka z odstawą kontyngentu, spotykaliśmy się gdzieś w korytarzu, żeby podzielić się wiadomościami, na które niecierpliwie czekał mój Ojciec. Nieco później, w połowie stycznia, kiedy Rosjanie byli już blisko, Niemcy zaczęli szybko się pakować i wiać. Nareszcie. Niestety, nawet tego nie widziałem, bo dowiedzieliśmy się, że gestapo się wścieka, w Płocku łapie ludzi na ulicach, a potem wywozi ich razem z więźniami i rozstrzeliwuje, jak to miało miejsce w lesie brwiłęńskim. Dlatego kryliśmy się gdzie się dało, żeby przeżyć jakoś tych kilka ostatnich dni.

Kiedy Rosjanie wchodzili do Płocka, Niemcy wysadzili w powietrze most na Wiśle. Słyszałem ten huk będąc koło domu i od razu domyśliłem się co to było. Większość Niemców uciekała szosą przez Turzę. 19 stycznia z satysfakcją widziałem z ukrycia pierwsze wozy ciężarowe załadowane meblami, biurkami i cywilami, a potem przez następne dwa dni rozmaite formacje niemieckie (wśród nich dużo własowców z mongolskimi twarzami), aż do wejścia Rosjan, tj. do 21 stycznia 1945 roku. Wyszliśmy wtedy powitać naszych „oswobodzicieli” i patrząc na nich dziwił się przed czym ci Niemcy uciekali?! To jest ta słynna, zwycięska Armia Czerwona?! Początkowo myśleliśmy, że to były tylko odwody, choć front był stosunkowo blisko i słychać było ogień artyleryjski.

Abstrahując już od ich wyglądu zewnętrznego (bo w końcu wojna to wojna a front to nie defilada), towarzystwo to „oswobodziło” gorzelnię w Siecieniu i wszyscy byli „pod gazem”. W środku wsi Sobowo otworzyli bańki ze spirytusem – tak więc i Rosjanie, i witający ich Polacy zaczęli świętować zwycięstwo. Był to pamiętny dzień.

Następnego dnia, tj. 22 stycznia, byłem w Brudzeniu, gdzie było już kilku znajomych z Armii Krajowej (AK). Od tego momentu oficjalnie zaczęliśmy występować jako konspiracyjni członkowie Armii Ludowej (AL) i zaczęliśmy organizować tymczasową administrację. W rzeczywistości ani wcześniej, ani teraz, ani później nie byliśmy członkami AL. Oszukaliśmy komunistów, na czele z Kubą, i oni wszyscy w to uwierzyli. Tak więc AL na terenie naszej gminy istniała tylko z nazwy, bo w rzeczywistości wszyscy należeliśmy do AK. Zdaję sobie sprawę, że dzisiaj trudno w to uwierzyć (mnie samemu zresztą też), ale koniec II wojny światowej to były przysłowiowe „dzikie pola” i takie sytuacje były możliwe.

Urząd Gminy przedstawiał oplatania godny widok. Rozpruta kasa, porozrzucane wszędzie papiery i dokumenty – to znak, że przed nami byli w nim Rosjanie. Ustaliliśmy, że wójtem gminy będzie Lucjan Maciakiewicz z Turzy, a komendantem milicji – „Janusz”, jeden z byłych żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), który nadał sobie nazwisko „Jan Raganowicz” (nie bardzo ludowo-demokratyczne). W ciągu kilku dni nasza milicja zajęła dwór Rościszewskich w Brudzeniu, no i zaczęliśmy rządzić się jak „szare gęsi”. Najpierw postanowiliśmy przejąć sklep Niemki Knopfowej w Bądkowie, zrobić inwenturę i zabezpieczyć wszystko do momentu, gdy zapadnie decyzja, co z tym legalnie zrobić. Wieczorem zebraliśmy się w sklepie: ja, wójt Maciakiewicz, Władysław Kowalski z Siecienia, „Janusz” – tak go wszyscy znaliśmy, „Nastek” – też z NSZ, jego nazwiska nigdy nie poznałem, i Edmund Dobraniecki „Mundek” z Turzy. Siedząc całą noc zrobiliśmy dokładny spis towarów (ja robiłem listy). Odchodząc pozwoliliśmy sobie wziąć po jednej paczce papierosów. Przed sklepem postawiliśmy milicjanta. Problem co z tym wszystkim zrobić i jak rozdzielić towar rozwiązał się sam przez noc. Kiedy przyjechałem do Brudzenia rano, dowiedziałem się, że w nocy przyjechali wozem Rosjanie. Rozbroili oni naszego milicjanta, załadowali towar i „paszli”. Nigdy się nie dowiedziałem, co się właściwie stało, ale wydaje mi się, że ta historia z ucieczką towaru wyglądała nieco inaczej.

Rosjanie nie uznawali żadnych polskich władz, mieliśmy z nimi różne problemy i kiedy dowiedziałem się, że w Turzy stacjonuje rosyjski sztab, razem z „Nastkiem” i kimś trzecim, wzięliśmy Rutkiewicza z Sobowa na podwodę (musieliśmy mu obiecać,

że dostanie ziemię z parcelacji folwarku Sobowo, którą już sobie upatrzył) i wieczorem, pamiętam dobrze, że był wówczas duży mróz i śnieg leżał wszędzie, pojechaliśmy do Turzy. W pewnym momencie konie rzuciły, że o mało nie wylecieliśmy z sań. Okazało się, że na rowie przy drodze leżał zabity żołnierz niemiecki z ręcznym karabinem maszynowym. „Nastek” przyniósł ten RKM i włożył pod słomę na sanie. Sztab znaleźliśmy bez problemu, stał w dużym gospodarstwie gdzieś po prawej stronie drogi. Przedstawiliśmy się jako miejscowe polskie władze i poprosiliśmy o jakieś zaświadczenia po rosyjsku dla okazania władzom rosyjskim w razie potrzeby. Przyjęli nas bardzo ładnie, poczęstowali winem, a jakiś oficer pokazywał nam na mapach sztabowych rozłożonych na stole, gdzie jest obecnie front. Aż tu nagle jakiś ruch w kuchni! Wpadli żołnierze z podniesionymi głosami i... sielanka się skończyła. Kiedy Rutkiewicz zmarł i poszedł ogrzać się do kuchni, żołnierze (zapewne NKWD), przeszukali nasze sanie i znaleźli ten nieszczęsny RKM. Tłumaczyliśmy im, że wzięliśmy to dla milicji, że partyzanci AK mogli by go znaleźć i użyć przeciwko nam itd., itd., ale oni byli przekonani, że przyjechaliśmy wystrzelać cały sztab jednym RKM'em i nie tylko że nic od nich nie dostaliśmy, ale z trudnością nas wypuścili.

Kilka dni później na prośbę kogoś z gminy Ligowo w powiecie lipnowskim, wójt Maciakiewicz, komendant milicji „Janusz” i ja pojechaliśmy tam, żeby im pomóc zorganizować „ludową” administrację na wzór Brudzenia. Był to początek lutego, krótkie dni i musieliśmy zostać w Ligowie na noc. Komendanta i mnie zaprowadzono na plebanię, a wójta gdzieś indziej. Proboszcz przyjął nas bardzo chłodno. Tłumaczył, że nawet cukru do herbaty nie ma i musimy spać w nieogrzewanym pokoju. Twierdził, że wszystko, owszem, było, ale gdzieś zginęło. Rozmowa zupełnie się nie kleiła. Czuliśmy się źle i w końcu przyznaliśmy się, że my przez przypadek wpadliśmy w rolę komunistów, że musimy je na razie grać, ale właściwie to komendant jest członkiem NSZ a ja członkiem AK. Wtedy stał się cud. Proboszcz się rozpromienił, przeprosił nas i za chwilę wrócił z faszki wina, a za nim gospodyni z cukrem, kolacją i opałem do pieca. Gadaliśmy do północy. Ksiądz wyjaśniał jakim cudem wszystko poginęło, a potem „przejechaliśmy się” razem po naszych „oswobodzicielach” ze wschodu. Rano konie na nas czekają, ale wójta Maciakiewicz nie ma, a my nie wiemy gdzie nocował. Znalezione go po dłuższych poszukiwaniach i okazało się, że zatrzymany przez Rosjan całą noc spędził w jakimś budynku, gdzie żołdactwo rozpałiło ognisko i wędziło go do rana. Był głodny, wściekły i nawet kłąć nie mógł bo ochrypl całkowicie.

Pamiętam, że wracającej podwodzie daliśmy 17 karabinów dla milicji w Ligowie, bo u nas wszelkiej broni pozostawionej przez uciekających Niemców mieliśmy wówczas pod dostatkiem.

Kiedy pojechałem do Płocka na pierwsze zebranie Powiatowej Rady Narodowej, razem z wójtem Maciakiewiczem i Edmundem Dobranieckim, jako delegaci z gminy Brudzeń, spotkałem niespodzianie „Kubę”. Z okrzykiem „witajcie towarzyszu w wolnej Polsce” uściskał mnie jak starego przyjaciela i dowiedziałem się, że nazywa się Jakub Krajewski, jest znanym działaczem komunistycznym, a obecnie pełni funkcję sekretarza Polskiej Partii Robotniczej (PPR) na miasto Płock i powiat płocki. Słyszałem, że później był posłem na Sejm. Po krótkiej rozmowie zaproponował mi wstąpienie do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UBP). Kiedy tłumaczyłem się, że na razie mam problemy, bo ojca zamordowało gestapo, na gospodarstwie jest tylko niezamężna siostra, poza tym mam zamiar wkrótce się żenić itd., itd., zapewnił mnie, że mogę przecież zostać kierownikiem UBP w Brudzeniu. Będę na miejscu, wezmę sobie zastępcę i wszystkie sprawy da się załatwić. Poinformował mnie, że szkolenie ubeków zacznie się 10 lutego, wobec czego muszę szybko podjąć decyzję.

Kiedy po powrocie przekazałem raport moim przełożonym w AK, wszyscy byli za tym, żebym tą propozycję przyjął. Wyszli bowiem z założenia, że dzięki mnie AK będzie miała „wtyczkę” w UB i będzie wiedzieć o wszystkich poczynaniach bezpieki. Poza tym gmina Brudzeń będzie bezpiecznym terenem dla poszukiwanych i ukrywających się akowców z innych terenów. Zapewniono mnie, że każdy stopień jaki otrzymam w UB będę miał automatycznie w AK i mogę liczyć na każdą pomoc w razie potrzeby (tzn. w razie wpadki), jak dokumenty na inne nazwisko, pomoc w ukrywaniu się, a nawet – w najgorszym razie – pomoc w opuszczeniu kraju na kilka miesięcy (potem okazało się, że kraj musiałem opuścić na kilkadziesiąt lat). W dyskusji z narzeczoną braliśmy pod uwagę również fakt, że zostaną wkrótce powołani do służby wojskowej. W wyniku powyższych dyskusji dałem sobie zrobić „wieczną” ondulację, zapuściłem wąsiki (do zdjęcia w legitymacji UB) i 10 lutego pojechałem do Płocka na przeszkolenie.

W tym miejscu muszę stwierdzić, że w książce pt. „Z dziejów Armii Krajowej w inspektoracie płocko-sierpeckim”, wydanie drugie, w przypisie na str. 132 popełniono błąd: mianowicie stwierdzenie, że wstąpiłem do UB na „rozkaz” Stefana Bronarskiego („Liścia”) nie jest zgodne z prawdą.

Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Płocku mieścił się w budynku zajmowanym wcześniej przez gestapo. Jego kierownikiem był porucznik Stanisław Konopka, a tak zwanym „doradcą” major Zwanariew z NKWD. Pamiętam też ważnego ubekę o nazwisku Karpa i żonę Konopki, która prowadziła sekcję III – Organizacje Nielegalne tj. Armię Krajo-

wą. Rolę „kata”, który bił przesłuchiwanym przez Konopkę akowców tak, że spadali z krzesła, pełnił jakiś wstrętny typ „Stasiu”, silnie zbudowany cham z czerwonym pyskiem. Więcej nazwisk nie znalazłem.

Miałem problem, kiedy na początku rozdano nam aplikacje do wypełnienia. Dane personalne musiały być podpisane przez trzech znanych komunistów, w tym wypadku gwarantorów. Oczywiście żadnych nie znalazłem, ani oni mnie, ale kręcił się tam również „Kuba”, który rozwiązał problem. Podpisał z miejsca moją aplikację i inni widząc jego podpis – podpisywali bez namysłu.

Na „wykładach” pokazywano nam jak przeprowadzać przesłuchiwanie ofiar. Na początku Konopka stwierdził z dumą, że ponieważ szkolą nas Rosjanie, a jednocześnie korzystamy z podręczników gestapo, to będziemy lepsi od jednych i drugich. Na pewno słysząc to ondulacja podniosła mi się z wrażenia do góry.

Na szkoleniach przede wszystkim przedstawiano nam zadania UB. Mieliśmy wiedzieć kto, co, z kim, kiedy, jak i gdzie robi. Nakazywano nam dowiadywać się co ludzie robią, co myślą i co planują. W tym celu mieliśmy używać informatorów i agentów. Informator to „nasz” człowiek, członek partii, komunista. Agentów należało werbować różnymi sposobami, np. przy użyciu materiałów kompromitujących, na przykład: obywatel „X” coś przeszkrobał, został złapany i grozi mu kara więzienia. UB załatwia mu zawieszenie kary, jeśli podpisze zobowiązanie współpracy. Dostanie wtedy pseudonim, pod którym będzie przysyłał raporty (doniesienia na innych, denuncjacje), założona zostanie mu „teczka” – i dostanie zadanie, np. obserwacja sąsiada, kiedy i dokąd chodzi, kto przychodzi do niego itd. W taki oto sposób UB werboowało nowych agentów, których wypuszczało do domu z konkretnym zadaniem.

Ludzi, którzy mieli dostęp do potrzebnych nam informacji, ubecy powinni obserwować używając innych agentów i czekać, aż mu się noga podwinie, albo coś będzie potrzebował, np. „jakieś zezwolenie na to czy owo”. Czasem należało użyć prowokacji, może nawet podstawić mu jakąś „panią” i zrobić ładne zdjęcie. W miastach dobrymi agentami były prostytutki, których „klientów” można było szantażować i zmuszać do współpracy.

Agenci nie mogli przychodzić do UB. W tym celu UB powinno mieć innych „swoich ludzi”, którzy będą dostarczać ich donosy. Takim „swoim człowiekiem” mógł być np. listonosz, gazeciarz, sklepikarz, ktoś kto rozwził węgiel czy mleko, innymi słowy taki, który bez żadnych podejrzeń mógł się swobodnie poruszać. Mówiono nam też, że doniesienia można zostawiać w umówionych skrytkach.

Po tych wszystkich „wykładach” żona Konopki zaproponowała mi, żebym nie wracał do Brudzenia i spał w jej biurze (czyżby to moja ondulacja na nią

tak podziałała?). Przyjąłem jej propozycję i wykorzystałem okazję żeby poszperać w jej papierach. Znalazłem listę osób do deportacji do Rosji, jak również znalazłem sprawę jednego kolegi mojego kuzyna z Płocka, który z wdzięczności za to dał mi skórę na nowe oficerskie buty.

Po zakończeniu kilkudniowego szkolenia wróciłem do Brudzenia i zająłem pokój w dawnym dworze Rościszewskich, gdzie urzędowała już milicja. Za swojego zastępcę wzięłem Władysława Kowalskiego z Siecienia. Biuro nasze mieściło się na górze po prawej i chciałem, żeby milicja tytułowała mnie „wasze wysoko w prawo chodźcielstwo” (od starego tytułu w armii carskiej – „wasze wysokoje priewoschoditielstwo”, co po rosyjsku znaczy: „wasza ekscelencjo”).

Wkrótce po oswojeniu dostaliśmy polecenie z powiatowego koła PPR żeby zwołać wiec w Brudzeniu. Partia miała nam przysłać prelegenta. Przez sołtysów zebraliśmy sporo ciekawskich ludzi i przyjechał rzeczywiście jakiś typ, który ze schodów Urzędu Gminnego wygłosił płomienne przemówienie chwalać Stalina, Rosję Sowiecką i Armię Czerwoną za przyniesienie nam wolności. Płakał przy tym z rozczulenia, a my byliśmy pewni, że to jakiś ważny komunista i przyjęliśmy go z honorami. Później okazało się, że pochodził spod Płocka (bodajże z Maszewa) i jeździł od gminy do gminy ze swoimi przemówieniami, prezentując nota bene marną polszczyznę – ale to nie powinno dziwić, albowiem wielu komunistów ani wykształceniem, ani inteligencją, ani obyciem nie grzeszyło. Z czasem dowiedziałem się w UB, że nasz prelegent to były szpicel gestapo, którego aresztowano, ale UB go przygarnęło i zrobili z niego szczerkaczkę dla komunistycznej propagandy.

Raz na tydzień musieliśmy wysłać do Płocka raporty sytuacyjne o działalności organizacji nielegalnych, o nastrojach wśród ludności, o postępie w przeprowadzaniu reformy rolnej, gdyż komuniści przywiązywali do tego wszystkiego wielką wagę. Również raz na tydzień jeden z nas musiał jechać do Płocka na odprawę, dalsze szkolenie i po instrukcje. Wymienialiśmy się z Władkiem. Po powrocie z każdej odprawy w UB przekazywaliśmy szczegółowy raport przez kontakty do naszych władz AK. Kto je otrzymywał oczywiście nie wiedziałem. Prawdopodobnie kontrwywiad, tzn. „Wyrwa” (Ludwik Kamiński z Uniejewa).

Któregoś dnia po powrocie z takiej odprawy pojechałem nad wieczorem do Bądkowa Kościelnego do księdza². Nie znalazłem go, więc przedstawiłem się jako kierownik Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Brudzeniu. Wspomniałem mojego śp. Ojca i kilku ludzi z Bądkowa, których już musiał poznać i powie-

działem mu, że przyjeżdżam go ostrzec, ponieważ właśnie dzisiaj dostałem instrukcje i nakaz zwerbowania ludzi (agentów), którzy będą mi meldować o czym mówią księża na kazaniach i w ogóle jak się zachowują. Książd, początkowo dość nieufny, widocznie w końcu mi uwierzył, ale powiedział tylko: „Mój Boże, to takiej Polski doczekaliśmy”.

Biuro UBP urządziliśmy fachowo. Zdobyliśmy nawet gdzieś starą maszynę do pisania, nasze raporty pisaliśmy urzędowym stylem i kiedy pewnego dnia przyjechali na inspekcję Konopka i jakiś pułkownik UB z Warszawy, Rosjanin z czysto polskim nazwiskiem, które zapomniałem, wszystko im się tak bardzo podobało, że w końcu ten pułkownik powiedział do Konopki: „To wy tu, w Brudzeniu, macie takich dwóch asów (dosłownie), a my w Warszawie, nie mamy odpowiednich ludzi? Kowalski może być kierownikiem tutaj, a wy (do mnie) albo idziecie do Warszawy albo na kierownika powiatu na Ziemie Odzyskane z awansem do porucznika”. Tu znowu zacząłem się tłumaczyć gospodarstwem po ojcu i tym, że mam się wkrótce żenić na co on odpowiedział: „No to załatwiajcie swoje sprawy szybko i albo Warszawa albo Ziemie Odzyskane”. Obaj z Władkiem długo się śmialiśmy z tych „asów”, ale to najlepiej świadczyło o poziomie personelu UB, co zresztą już zauważyliśmy na odprawach w Płocku.

Pewnego dnia przyszła z płaczem na milicję w Brudzeniu jakaś babina i zameldowała, że jej mąż (mieszkali gdzieś pod lasem) ma ukrytą broń oraz przedwojenne polskie pieniądze (tak po prawdzie to mąż wypił trochę za dużo i z nadmiaru fantazji stłukł babkę na kwaśne jabłko, a ona w ten sposób chciała się zemścić). Ukryta broń to poważna sprawa i milicja przysłała tę kobietę do mnie, do UB. Dowiedziałem się, że ma on skrytkę pod progiem obórki. Wyśleliśmy milicję i wszystko znaleźli. Zrobiłem protokół i odstawiliśmy obywatela Cybulskiego do UB w Płocku. Dwie godziny później dzwoni Konopka i krzyczy przez telefon: „Co wy tam wyrabiacie?! Cybulski to nasz chłop, to tylko kłusownik, dajcie mu spokój”. „My przecież nie wiedzieliśmy” – tłumaczyłem się. Nad wieczorem przyszedł do nas Cybulski, żeby nam pokazać „a ja was się nie boję”. Okazało się, że on Konopkę skądś znał, ale skąd?

* * *

Z Ziem Odzyskanych, które Polska otrzymała jako rekompensatę za zajęte przez Sowieców Kresy Wschodnie, wojska rosyjskie wywoziły co się tylko dało do Rosji. Specjalne jednostki, tzw. „trofiejnyje czasti”, miały z góry wyznaczone kontyngenty, ile pociągów i łupów wojennych muszą dostarczyć z danego powiatu czy miasta. Ładowali dosłownie wszystko. Dobrze pamiętam letni dzień, bodajże w lipcu 1945 roku, kiedy po ucieczce z Brudzenia ukrywając się na zachodzie Polski czekałem na pociąg na stacji

w Gorzowie. Stał tam właśnie taki pociąg, który z nudów i ciekawości sobie obejrzałem. Były na nim m.in. żelazne mostki jakie są w parkach nad strumykami, była psia buda (sic!), stary młynek na pasek do czyszczenia zboża, a na ostatniej platformie betonowe płyty wyrwane z chodników.

Konie i bydło pędzili drogami przez całą Polskę żołnierze sowieccy, przeważnie kobiety. Mieli oni na całej trasie punkty, miejsca postoju, w których jedli i nocowali. Był taki punkt w Brudzeniu i następny w Chalinie. W Brudzeniu stacjonowało kilku żołnierzy pod dowództwem starszyny (starszy sierżant w Armii Czerwonej) i wszyscy się z nami blisko zaprzyjaźnili, wciąż do nas przychodzili i często razem popijaliśmy.

W tym samym czasie nasza milicja aresztowała jakiegoś „Wańkę” w Myśliborzycach, który tam grawitował. Tu coś ukradł, w następnej wsi sprzedał za wódkę, zaczął kobiety i jakoś do Berlina mu się nie spieszyło. Przywieźli go na posterunek i czekali na komendanta milicji, który miał go przesłuchać. Byłem wtedy w swoim biurze i naraz słyszę, że ktoś głośno krzyczy po rosyjsku na dole. Schodzę i widzę rosyjskiego żołnierza z pepeszą wycelowaną w wystraszonego milicjanta, który krzyczy: „To my za was krew przelewamy a wy, Polaczki, mnie, żołnierza Czerwonej Armii aresztujecie? Ja wam pokażę!”.

Kiedy milicjanci go przywieźli, zabrali mu pepeszę, ale postawili ją w stojaku w tym samym pokoju. „Wania” wykorzystał chwilę nieuwagi, zrobił skok, chwycił pepeszę i teraz on był panem sytuacji. Na szczęście weszło kilku innych milicjantów i jeden z nich jakoś skoczył na niego z tyłu i udało im się odebrać mu pepeszę, przy czym nieco go przy tym poturbowali.

Teraz mieliśmy problem. Rzeczywiście nie mieliśmy prawa go dotknąć i teraz staraliśmy się sytuację załagodzić, żeby nie zameldował do wojennego komendanta. I tu pomogła butelka wódki. Wypiliśmy z nim za przyjaźń polsko-sowiecką i za Armię Czerwoną, pokazaliśmy mu drogę do Berlina i odszedł. Zaszedł jednak tylko do Chalina. Zatrzymał się na tym punkcie postoju i opowiedział tamtejszym żołnierzom, jak to polska milicja w Brudzeniu go aresztowała i pobiła. W kilka dni później, kiedy dobrze sobie popili, namówił Rosjan z Chalina żeby napadli z nim na Brudzeń i rozprawili się z naszą milicją. Dobrali sobie do pomocy jeszcze kilku polskich milicjantów i uzbrojeni wyruszyli w bojowym nastroju do Brudzenia.

Mniej więcej w tym samym czasie z sowieckiej komendatury w Płocku wyjechał wóz z kilku żołnierzami do Brudzenia, gdzie mieli dobrać kilku żołnierzy z punktu postoju i pojechać do Chalina aresztować dezertera, o którym się dowiedzieli, że tam przebywa (był to oczywiście nasz Wania). Oba wozy spotkały się gdzieś między Winnicą i Turzą. Ci z Chalina myśleli, że to wóz z polską milicją z Brudzenia.

Zeskoczyli do rowów i zaczęli strzelać z automatów. Ci z Płocka (razem z tymi z Brudzenia) myśleli znowu, że napadła ich polska partyzantka AK. Też zeskoczyli z wozu i skryli się wystraszeni w rowie i na polu. Nie wiem jak to się wszystko skończyło, wiem tylko, że było kilku rannych i jeden zabity – „nasz” starszyna. Na drugi dzień po odprawie w Płocku poszedłem do Komendy, gdzie leżał, żeby się z nim pożegnać. Myślałem, że straciłem bliskiego przyjaciela.

Drugim żołnierzem Armii Czerwonej, którego bardzo lubiłem, był Polak z Białorusi. Nazwiska niestety nie pamiętam. Był to inteligentny chłopak, widać było, że pochodzi z porządnej rodziny. Powiedział mi, że wkrótce wysyłają go na front (koło Berlina) i ma przecucie, że zginie. Tu przypomniało mi się, że podobne przecucie miał mój brat Stanisław we wrześniu 1939 roku odchodząc do swojego pułku, które, niestety, sprawdzilo się. Stanisław zginął 22 września od bomby w schronie na placu koszarowym 36-go pułku piechoty na warszawskiej Pradze. Kiedy ten Polak z Białorusi zwierzył mi się, że chciałby zdezerterować, postanowiłem mu pomóc. Przyniosłem mu cywilne ubranie i wieczorem, na moją prośbę, milicjant Hipolit Kwiatkowski zaprowadził go do Kamienicy, do domu rodziców mojej narzeczonej. Był tam pewien czas, później gdzieś wyjechał i kiedy już byłem w Niemczech i w liście do żony pytałem o niego, dowiedziałem się, że pracuje jako traktorzysta gdzieś w Prusach Wschodnich.

Na początku kwietnia 1945 roku ożeniłem się z Jadwigą Matuszewską z Kamienicy, z którą blisko przyjaźniłem się od czterech lat. Sytuacja w UB zaczęła się pogarszać. Podczas kiedy wszyscy inni kierownicy gminnych UB aresztowali i furami odwozili akowców do UB w Płocku, my pisaliśmy im piękne raporty, że szukamy, że gonimy, ale nikogo nie złapaliśmy i to musiało podpaść. Poza tym, kiedy wychodziłem po jednej z odpraw w Płocku, wartownik (odźwierny) zatrzymał mnie i poinformował, że porucznik Karpa (zastępca Konopki) chce mnie widzieć. Zaprowadził mnie do jego biura, gdzie Karpa bez wstępu zapytał mnie jak dawno i skąd znam komendanta milicji z Brudzenia Jana Raganowicza. Kiedy tłumaczyłem mu, że właściwie bardzo mało, zapytał dlaczego podpisałem jego aplikację jako gwarant. „Nie mieliśmy wtedy nikogo lepszego – mówię – obserwujemy go i gdybyśmy zauważyli coś niewłaściwego w jego zachowaniu to poszukamy innego”. A Karpa na to: „obserwujcie go bardzo uważnie, z kim się spotyka, dokąd chodzi; dowiedzcie się skąd pochodzi, gdzie był w czasie wojny itd. Jeszcze będziemy o tym rozmawiać”.

„Zabawa się kończy” – pomyślałem sobie. Coś już wiedzą. Po powrocie do Brudzenia powiedziałem „Ja-

nuszowi” o tej rozmowie i zaczęliśmy myśleć co teraz robić. Ten jednak całą wojnę był w partyzantce, był ranny w potyczce z Niemcami, potem ukrywał się w naszych stronach do tzw. „wyzwolenia” i nareszcie teraz wyszedł na światło dzienne, zaczął w końcu jakoś żyć i co?! I teraz ma znowu uciekać i się ukrywać?! „Jak ja teraz zniknę – powiedział nam – to rzuci to podejrzenie na was wszystkich. Poza tym może oni za dużo nie wiedzą, poczekajmy trochę”.

Po naradzie z Władkiem Kowalskim doszliśmy do wniosku, że kiedy nasi przełożeni z UB w końcu nas rozpracują, będą chcieli aresztować nas obu jednocześnie. Wobec tego postanowiliśmy, że od teraz nigdy nie będziemy w biurze w Brudzeniu razem. Kiedy jeden z nas będzie w biurze, drugi będzie „w terenie”. Dla uzgodnienia bieżących spraw będziemy zostawiać na biurku notatki, ewentualnie spotykać się poza biurem. Na następną odprawę Władek nie pojechał do Płocka, choć była jego kolej. Wymówił się, że ma w domu coś do zrobienia. „Jedź ty teraz, a potem ja pojedę dwa razy” – zapewnił mnie. Wobec powyższego nie miałem wyjścia – pojechałem ja, ale nic nowego nie zaszło.

W którąś z wiosennych niedziel wydarzył się w Siecieniu następujący wypadek: komunistyczna organizacja młodzieżowa Związek Walki Młodych (ZWM) urządziła przedstawienie, w którym m.in. występowali partyzanci z karabinami. W pewnym momencie ktoś przez nieuwagę przewrócił bądź upuścił nabyty karabin, który wypalił i ranił (albo nawet zabił) młodą dziewczynę. Władek Kowalski, który mieszkał w Siecieniu, udał się zaraz na miejsce i przesłuchał naocznych świadków. Potem sporządziliśmy protokół i przepisowo wystaliśmy go do Płocka.

Kilka dni później, kiedy nie było nas w biurze, przyjechał Konopka i trzech innych ubeków i pod pozorem, że powiatowy komendant milicji chce natychmiast widzieć „Janusza”, zabrali go ze sobą. „Janusz” nie wrócił ani tego, ani następnego dnia. Został aresztowany.

W następną niedzielę za kościołem w Bądkowie, nad rzeką, odbyła się majówka. Zaprosiłem na nią komendanta milicji z Chalina p. Brzózki (znajomego z AK), który przyjechał bryczką po mnie i żonę do Kamienicy, i następnie razem pojechaliśmy do Bądkowa. Pogoda była śliczna, wszyscy ładnie się bawili, ale w pewnym momencie ktoś podbiegł do mnie i szepnął: „UB z Płocka idzie”. Obejrzałem się i zobaczyłem idących w naszą stronę Konopkę i Karpę, obwieszonych jak zwykle automatami. Zdążyłem tylko posłać milicjanta, żeby ostrzegł Władka Kowalskiego, który też tam był, żeby jak najszybciej zniknął. Wyszedłem naprzeciw powitać „miłych gości”, którzy na wstępie spytali, czy jest tu również mój za-

stępcą, Władysław Kowalski. „Owszem jest tu gdzieś – mówię. – Poczekajcie chwileczkę, ja go zaraz znajdę”. Odszedłem, pokręciłem się, zagadałem kilka osób tu i tam, i wróciłem do „miłych gości” z wiadomością, że Wladek owszem był, ale przed godziną odprowadził jakąś panią do domu. Wypadało mi wtedy odprowadzić „miłych gości” do ich auta, które pozostawili z szoferem koło kościoła. Wyobrażałem sobie co myślała wtedy moja żona i wszyscy inni widząc mnie odchodzącego w asyście uzbrojonych ubeków. Ja zresztą myślałem to samo: że oto tak właśnie wygląda koniec mojej „kariery” w UB...

Idąc koło nich spytali mnie o ten wypadek w Sieni. „Przecież posłaliśmy wam protokół z przesłuchania świadków” – mówię, na co Konopka: „Wasz protokół poszedł prosto do kosza. Nie przysyłajcie nam takich śmieci. Jutro przyślecie inny protokół, w którym napiszecie, że imprezę młodzieżową zaatakowała partyzantka AK i to oni postrzelili (zastrzelili) niewinną dziewczynę. Takie rzeczy dzieją się pod waszym nosem a wy o niczym nie wiecie. Dowiedzieliśmy się również ładnych rzeczy od waszego komendanta milicji – ciągnął dalej Konopka. – Jest on synem właściciela folwarku, członkiem Narodowych Sił Zbrojnych, był w ich partyzantce i miał zamiar was i Kowalskiego zamordować, gdybyśmy go na czas nie aresztowali. A wy o niczym nie wiecie”. Ja zacząłem udawać wielce przestraszonego, kłąc na komendanta i na NSZ, w końcu doszliśmy do ich auta, pożegnaliśmy się i ku mojemu najwyższemu i wszystkich innych zdziwieniu – powróciłem na majówkę prosto do baru. Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że przyjechali nas aresztować. Nie zrobili tego jedynie dzięki temu, że Władkowi udało się zniknąć...

Nie dość tego. Kilka dni później jadąc do biura spotkałem przy drodze sąsiada Józefa Śniegockiego z Sobowa. Podszedł do mnie i spytał: „Wiesz, że ocaliłem ci życie? Przedwczoraj – powiada – przyszło do mnie wieczorem kilku uzbrojonych ludzi. Przedstawili się jako partyzantka AK. Mieli ze sobą flaszkę wódki, którą wypiliśmy razem. Klęli na ruskich, na komunistów, na UB i w końcu oświadczyli, że przyszli z rozkazu AK wykonać wyrok, tzn. zastrzelić tego zdrajcę, sk...syna, komunistę, kierownika UB w Brudzeniu, Czesława Mireckiego”. Śniegocki odrzekł im: „Panowie, to pomyłka, ja znam Czesława od dziecka, znałem jego ojca, on nie jest komunista, on na pewno taki jak wy, akowiec. On tylko udaje ubeka, nie róbcie tego”. Udało mu się rzekomo w końcu ich przekonać. Twierdził, że mu uwierzyli i odeszli. Tymczasem ondulacja podniosła mi się znowu do góry i mówię do sąsiada: „Panie Śniegocki, niech pan nikomu o tym ani słowa nie mówi. To nie byli partyzanci AK, to było UB z Płocka. To była prowokacja”. Mój sąsiad nieświadomie wyświadczył mi (i SOBIE) wielką „przysługę”...

Nie wiedziałem teraz czy w ogóle jechać do biura, ale przypomniało mi się, że jest tam Wladek i że muszę mu powiedzieć o tej prowokacji. Poza tym miłośny dzisiaj jechać do p. Durniata do Rochen, zrobić protokół w sprawie Niemki Friedy Knopf, którą przydzieliliśmy jego żonie do pracy, a którą zabrał jeden Rosjanin z gminy Biała do swojego haremu.

Pojechałem, zadzwoniłem do Wojennego Komendanta w Płocku i powiedziałem mu, że jutro jedziemy z milicją zabrać tę Niemkę, żeby nie myślał, że to napad partyzantki AK i przez resztę dnia byliśmy z Władkiem poza biurem. Kiedy wpadliśmy żeby zjeść obiad, siedzieliśmy jak na węglach i zaraz złapaliśmy rowery i pojechaliśmy do Rochen.

Był piękny dzień, 6 czerwiec, siedzieliśmy u p. Durniatów dość długo, zrobiliśmy protokół, coś wypiliśmy i nad wieczorem wracamy, żeby omówić szczegóły z milicją na jutro. Przed wjazdem do dworu, na szosie, czekał na nas milicjant Hipolit Kwiatkowski i powiedział nam następującą historię: Zaraz po naszym odjeździe przyjechało czterech z UB z Płocka, jeden wysiadł z auta, podszedł do wartownika stojącego przed głównym wejściem i zapytał, czy Mirecki i Kowalski są w biurze UB. Owszem, są, odpowiedział. „Są obaj?” – zapytał znowu ubek. „Tak, są obaj i właśnie przed chwilą jadłem razem z nimi obiad”. Wtedy wszyscy szybko wyskoczyli z auta, dwóch pobiegło do wejścia przez kuchnię, a dwóch wbiegło przez główne wejście z automatami w rękach. Wpadli do jadalni – nas nie ma, do naszego biura – drzwi zamknięte, rozbili zamek – nikogo nie ma. Latają po całym dworze i zagląдают wszędzie aż w końcu milicjant, którego podmieniono na obiad powiedział im, że widział nas obu kiedy wyjechaliśmy gdzieś na rowerach. UB czekało i odjechali dopiero kiedy zaczęło się ściemniać – z pustymi rękami.

Weszliśmy i okazało się, że przystano nowego komendanta milicji tzn., że „Janusz” już nie wróci. Wpadliśmy szybko na górę, zabraliśmy różne papiery i tak się zakończyła nasza „służba” w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Gdyby nam ktoś wówczas powiedział, że za niecałe 4 miesiące będziemy obaj w tym samym budynku spać niewinnie po większej popijawie z kierownikiem UB w Brudzeniu, to oczywiście obaj zgodnie wystalibyśmy gościa do domu wariatów. Niewinnego, dobrego proroka...

Przez pewien czas ukrywałem się u Józefata Boguckiego na Ostrowcach przepisując na starej maszynie do pisania marki „Olympia” wyroki podziemnych sądów AK pisane ręcznie na bibule.

Najpierw, oczywiście, zgoliłem wąsiki i obciąłem resztę ondulacji. Spełniły swoje zadanie. Pewnego dnia wpada Józefat Bogucki z wiadomością, że „Ja-

nusz” uciekł z UB, jest w Brudzeniu u p. Zeni Kapuścińskiej i chce się ze mną zobaczyć. Nie mogłem się doczekać wieczoru. Pojechałem tam i zastałem go leżącego na otomanie, zmienionego nie do poznania. Mówił z trudnością, przerywał i w ogóle ledwo przypominał wyglądem tego niezwykle przystojnego mężczyznę jakim go wcześniej znałem.

Po serdecznym przywitaniu opowiedział mi swoją historię. W czasie wojny musiał się ukrywać przed Niemcami, wstąpił do Narodowych Sił Zbrojnych i kiedy był w oddziale partyzanckim został ranny podczas jednej z potyczek z żandarmerią. Zaniesiono go i ukryto u rolnika „W” (nie pamiętam gdzie), aż rana się zagoiła i mógł wrócić do oddziału. Kiedy później, już jako komendant milicji w Brudzeniu pojechał do Płocka na odprawę, obywatel „W”, który jak się okazało, był zapalonym komunistą, zobaczył go jadącego bryczką, rozpoznał i poleciał prosto do UB, żeby o tym zameldować. Domyśliłem się, że właśnie wtedy Karpa wezwał mnie do swojego biura i pytał skąd i jak długo naszego komendanta milicji znam. „Janusz” opowiedział mi jak po aresztowaniu bito go podczas przesłuchania i przyznał, że powiedział wszystko, bo nie mógł już wytrzymać z bólu. „Wiedzą wszystko i o was (o Władku Kowalskim i o mnie) i uciekajcie na koniec świata żeby się tylko nie dostać w ich łapy” – ostrzegł mnie.

Po zakończeniu śledztwa, w pożałowania godnym stanie przyłączono go do grupy czekającej na następny transport do Rosji. Pod nadzorem ubeków używano ich do różnych prac. Któregoś dnia pracowali gdzieś w ogrodzie przy trakcie nadwiślańskim, kiedy właśnie żołnierze-kobiety pędziły stado poniemieckiego bydła do Rosji. Jedna z Rosjank widząc „Janusza” w ciężkim stanie, szybko udoiła w swoją męską mleka i podała mu. „Janusz” chciwie wypił mleko, ale po chwili żołądek mu się zbuntował i dostał rozwolnienia. Powiedział pilnującemu ich ubekowi, że „musi pójść za potrzebą” i ten odprowadził go w krzaki. Powtórzyło się to kilka razy i kiedy nadeszło nowe stado krów i wzniosł się tuman kurzu (był to czerwiec i było sucho) „Janusz” znowu zwrócił się do ubeka, że „musi pójść za potrzebą”. Ubek, wiedząc że „Janusz” nie kłamie, pozwolił mu iść w krzaki, bo chciał pilnować innych. „Janusz” tylko na to czekał, zebrał resztę sił i krzakami i żytem pod chmurą kurzu uciekł. Kiedy pytałem co ma zamiar robić, powiedział, że jak tylko wróci do sił, będzie próbował przedostać się do Włoch, do 2-go Korpusu i pożegnaliśmy się „Do zobaczenia u Andersa”. Nigdy więcej go nie widziałem ani o nim nie słyszałem³.

Na początku sierpnia pojechałem z małą grupą do Gdańska, a później na Ziemie Odzyskane, do Białogardu koło Koszalina, gdzie mieszkał kolega szkolny Józefata Boguckiego, syn przedwojennego posła na

Sejm z okręgu płockiego, Klemensa Kaczorowskiego. Z ewentualnego zatrudnienia tam jakoś nic nie wyszło, nie pamiętam dlaczego, w każdym razie wróciliśmy z niczym i w połowie września razem z Władkiem Kowalskim i dwoma innymi pojechaliśmy do znajomego Henryka Parczewskiego z Sobowa, który pracował w Niemczech a po wejściu Rosjan zajął ładne, duże gospodarstwo w Kierzkowie, osiedlił się i jakimś cudem został wójtem w gminie Golenice, pow. Myślibórz. Parczewski bardzo się ucieszył z mojego przyjazdu i z miejsca zostałem sekretarzem tej gminy.

Tu przypomina mi się ciekawy wypadek obrazujący ówczesne nastroje. Kiedy zwołaliśmy zebranie sołtysów zauważyłem, że wielu z nich wyglądało raczej na starostów niż na sołtysów i kiedy po zebraniu jeden z nich zapytał czy słyszeliśmy, że alianci dyskutują z Sowietami podział Polski na Polskę „A” (stara Polska) i Polskę „B” – Ziemie Odzyskane, gdzie przyjdzie armia gen. Andersa – nagła ożywiona dyskusja zdradziła wszystko. Na Ziemie Odzyskane uciekali wtedy wszyscy znani ze swojej antykomunistycznej działalności, przynależności do NSZ albo AK, którym groziło aresztowanie ewentualnie byli już poszukiwani lub ścigani przez UB. Takimi ludźmi byli też i nasi sołtysi.

Właśnie wtedy prasa zaczęła nawoływać wszystkich ukrywających się do korzystania z ogłoszonej niedawno amnestii, bez obaw aresztowania czy jakichkolwiek konsekwencji. Byłem tutaj na obce nazwisko, żona została u rodziców w Kamienicy w ciąży, stałe tarcia aliantów z Sowietami były, ale na wojnę się nie zanosilo (kiedyś na to liczyliśmy), wobec czego zaczęliśmy dyskutować ewentualny wyjazd do Brudzenia, zgłoszenie się do UB i, po otrzymaniu zaświadczenia amnestijnego, powrót na Ziemie Odzyskane, znalezienie mieszkania i osiedlenie się. Podobało mi się tutaj, miałem pracę i był najwyższy czas, żeby jakoś życie uregulować. W tym celu przygotowałem sobie (i Władkowi) zaświadczenia stwierdzające, że byliśmy i pracowaliśmy tutaj już od czerwca, żeby nas nie posądzali, że byliśmy w „bandach”, co było wtedy u nich bardzo modne i zrezygnowani wracamy.

Do kontaktu z UB postanowiliśmy użyć wójta gminy Brudzeń Lucjana Maciakiewicza. Przyjechaliśmy do niego do Turzy wieczorem, i po dyskusji uzgodniliśmy, że znajdzie on powód i okazję, żeby zaprosić kierownika UB w Brudzeniu, którym był wtedy „stary znajomy” Zygmunt Koprowski, do sklepu w Bądkowie na wódkę, którą podobno bardzo lubił, a Władek Kowalski i ja już tam będziemy na nich czekać. Popijemy, pogadamy o amnestii, jak to u nich wygląda i jak otrzymać te zaświadczenia, i to będzie początek końca (mieliśmy nadzieje).

Wójt Maciakiewicz swoją misję spełnił dobrze, zjawił się wieczorem z Koprowskim, który, kiedy nas zobaczył i poznał, oniemiał ze strachu, bo myślał,

że to była zasadzka na niego. Widząc jednak, że nie mamy żadnej broni i wódka już stoi na stole, wysłuchał naszej zmyślonej historii, pokazaliśmy mu nasze zaświadczenia z Golenic i zapewnił nas, że wszystko jest w porządku, on jutro zadzwoni do Płocka o te zaświadczenia amnestyjne i dobrze, że wróciliśmy. Kiedy skończyliśmy libację już po północy, Koprowski zaproponował żebyśmy poszli z nim i przespali się w UB. „Miejsce jest – powiedział – gdzie będziecie teraz po nocy chodzić. Jutro zadzwonię do Płocka i dowiem się o te zaświadczenia”. Zgodziliśmy się, poszliśmy z nim i z większym kacem zasnęliśmy na starych śmieciach, w UB w Brudzeniu.

Rano obudził nas jeden „nasz” milicjant, że właśnie dzwoniła kierowniczką z poczty w Bądkowie, p. Halina Winnicka i na szczęście on odebrał telefon. Prosiła go żeby nas jakoś powiadomił, że przed chwilą podsłuchiwała rozmowę telefoniczną Koprowskiego z Konopką. Koprowski informował Konopkę, że przyjechaliśmy, żeby skorzystać z amnestii. Konopka: „Gdzie oni są?”. A Koprowski: „Śpią u mnie”. „Obaj?”. „Tak, obaj”. „To dobrze, trzymaj tych sk...synów a my zaraz przyjeżdżamy po nich. Najpierw odsiedzą swoje 25 latek z kontraktu, a wtedy pogadamy o amnestii”. Spojrzałem na Władka, on na mnie, i zrozumieliśmy, że ta amnestia to lipa, pułapka. Wpadliśmy. Myślimy sobie co teraz zrobić? Spróbujmy jakoś uciec.

Zjawił się teraz Zygmunt Koprowski z niewyraźną miną a ja mówię do niego, że chcę szybko skoczyć do gminy żeby na prośbę siostry z Sobowa zameldować jej konia i biorę rower. „To ja też pojedę z tobą” – mówi Władek Kowalski. „To ja pojedę z wami” – mówi Zygmunt i wszyscy trzej pojechaliśmy. Po drodze szepnąłem do Władka: „spotykamy się w X”. Kiedy weszliśmy do gminy ja poszedłem na lewo, a Władek chciał wpaść na chwilę do PPR'u, po prawej. Zygmunt poszedł za mną, ale kiedy usłyszał, że ja pytam o zameldowanie konia poszedł zobaczyć, co w tym czasie robi Władek. Ja z tego skorzystałem i wyskoczyłem przez okno. Władek zrobił to już wcześniej i biedny Zygmunt został w urzędzie sam. Bardzo chciałbym zobaczyć scenę kiedy Konopka ze swoimi zbirami przyjechali po nas jeszcze raz i jeszcze raz na próżno... Ciekawe, co też powiedział Zygmunt kiedy zażądali: „Dawaj nam tych sk...synów”. Wiem tylko, że wyleciał ze stanowiska kierownika UB w Brudzeniu i został wartownikiem w UB w Płocku. Siedział z pepeszą przy drzwiach sali, gdzie odbywały się odprawy.

Dwa dni później wyjechałem do Szczytna dokąd przeniósł się były komendant milicji z Chalina p. Brzózka. Znalazł mi on pracę w PZUW (Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych). Zatrzymałem się w domu przy ul. Poznańskiej 20, ale w krótkim czasie dowiedziałem się, że przysłano nowego kierownika UB... z Płocka. Koniec kariery. Wróciłem na krótko do żony i doszliśmy do wniosku,

że muszę przedostać się za granicę, wtedy ona przestanie się martwić o mnie i za 3 - 4 miesiące wrócę cały i zdrowy. Zażądałem spotkania z byłymi władzami AK, owszem, przyszedł „Wyrwa”, spotkaliśmy się u rybaka nad Wisłą na Główninie, dał mi kontakty we Włocławku, skąd po kilku dniach razem z kilkoma innymi pojechaliśmy pociągiem do Szczecina.

Przeżyłem mnóstwo przygód i perypetii, aż w końcu, dzięki pomocy Anglików, udało mi się uciec z Polski do angielskiej strefy okupacyjnej Niemiec (późniejsza RFN). 5 lutego 1946 roku poczułem się wolny. Kilka najbliższych lat spędziłem w złożonej z Polaków kompanii wartowniczej stacjonującej przy RAF. Dłuższy czas przebywałem w Wunstorfie koło Hannoveru – byłem tam podczas blokady Berlina w 1949 (słynny „Most Powietrzny”). Przy końcu lutego 1948 roku tutaj dostałem wiadomość o śmierci mojej żony, do której i do małego synka Janusza miałem wrócić po 3 - 4 miesiącach... Po kilku latach walki zmarła na gruźlicę.

Ziemie wchodzące w skład Mazowsza Płockiego znajdowały się przed pierwszą wojną światową pod zaborem rosyjskim (gubernia płocka). Kiedy mój ojciec został powołany do służby w carskiej armii (na 25 lat!!!) udało mu się przedostać do Niemiec i z Hamburga wyjechał do Ameryki. Pojechał do Filadelfii do znajomego, który tam mieszkał i załatwił ojcu przejazd okrętem. Kiedy przyszła kolej do poboru na młodszego brata ojca – Andrzeja – mój ojciec w ten sam sposób sprowadził jego do siebie, a później razem sprowadzili jeszcze dwie siostry. Wszyscy oni osiedlili się w USA i założyli tu rodziny – stąd miałem w Filadelfii dużo krewnych. Stąd też będąc w Niemczech zwróciłem się do nich z prośbą o pomoc w wyjeździe z Niemiec do USA i wkrótce otrzymałem od stryjka Andrzeja wszystkie potrzebne papiery i zarejestrowałem się w konsulacie USA w Hamburgu. Wyjechać mogłem jednak dopiero wtedy, kiedy prezydent USA Harry Truman podpisał tzw. „Displaced Persons Act”, ustawę, umożliwiającą 200.000 wysiedleńcom przyjazd z Niemiec do USA. Każdy jednak musiał znaleźć sponsora, który zapewni mu mieszkanie i pracę.

Po długim oczekiwaniu i wielu formalnościach 22 sierpnia 1949 r. wyjechałem do Bremerhaven, skąd na statku „Generał W.G. Haan” opuściłem Europę. Po kilku dniach rejsu, w tym dwudniowej potężnej burzy, zbliżaliśmy się do Nowego Jorku. Był piękny, jesienny dzień. Stałem na pokładzie, kiedy w dali ukazały się zarysy drapaczy chmur i Statua Wolności i nagle uprzytomniłem sobie, że dzisiaj jest 1 września 1949 roku. Dokładnie przed 10 laty stałem przed

naszym domem w Sobowie i czekałem na Ojca, który jadł śniadanie, żeby go odwieźć do pracy – był wójt gminy Brudzeń. Nagle, gdzieś od kierunku Płocka rozległy się eksplozje, wybuchy i po kilku minutach z tego kierunku nadleciały z rykiem bardzo nisko trzy bombowce i przeleciały dokładnie nade mną tak, że widziałem twarz jednego pilota. Machałem do nich rękami w przekonaniu, że to nasze, ale dziwiłem się dlaczego mają takie dziwne krzyże pod skrzydłami??? Może zamaskowane? Udują niemieckie? Mielśmy kryształkowe radio „Echo” w domu, jakie założył nam Wacław Wiśniewski, pracownik urzędu gminy (zamordowany przez Niemców w lesie brudzeńskim pod koniec wojny) wpadłem więc do domu żeby posłuchać wiadomości i dowiedziałem się, że kilka godzin wcześniej Niemcy napadły na Polskę i rozpoczęła się druga wojna światowa. Wybuchy jakie przed chwilą słyszałem to były bomby zrzucone na koszary w Płocku przez samoloty jakie nade mną przeleciały...

Wojny oczekiwaliśmy. Pod koniec sierpnia stryjka z Filadelfii, która była u nas w odwiedzinach,

została telegraficznie wezwana przez konsulat USA do natychmiastowego opuszczenia Polski, odjechała do Warszawy, gdzie zastała ją wojna i przez Szwecję dopiero po kilku tygodniach wróciła do USA. Ogłoszono mobilizację i razem z nią odjechał do swojego pułku w Warszawie mój brat Stanisław (zginął wkrótce od bomby). Ja należałem do Związku Strzeleckiego i też oczekiwałem, że zostanę powołany wkrótce. Na polach majątku Brudzeń budowano prowizoryczne lotnisko. Sołtysi przysyłali ludzi z sąsiednich wsi, młócono stogi zboża, zrównywano bruzdy i nierówności. Czekaliśmy teraz kiedy Anglicy i Francuzi uderzą na Niemcy z Zachodu, a wtedy – jak sobie marzyliśmy – wkrótce będziemy w Berlinie... Powtórzyłem Ojcu zasłyszane wiadomości. Przesłał jeść i zasępił się. Wyszedłem z domu i myśli zaczęły mi się kłębić w głowie. Wojna.... jak długo potrwa? Jak się skończy? Czy przeżyję? Gdybym tak mógł przewidzieć, gdzie będę się znajdował za dokładnie 10 lat od tej chwili.

Przypisami opatrzył: Czesław Mirecki

PRZYPISY

¹ Szerzej o zamachu zob. w artykule „Akcja Brudzeń” autorstwa Tadeusza Boetzla zamieszczonym w „Brudzeń zaprasza” nr 3/2001, s. 10-12 i 4/2001, s. 8-9, oraz „Komentarz do Akcji Brudzeń” Czesława Mireckiego, „Brudzeń zaprasza” nr 1/2002, s. 7.

² Był nim wówczas ks. Józef Jerominek.

³ Tak było w istocie w momencie, w którym wspomnienia te pisałem (przełom 2004/2005). Tymczasem stała się rzecz niezwykła. Wspomnienia te przesłałem p. Andrzejowi Dwojnychowi z Brudzenia, a ten przekazał je p. Jackowi Pawłowiczowi z warszawskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej celem zweryfikowania. Jesienią 2005 r. Pawłowicz poinformował mnie przez Dwojnicha, że „Janusz” („Jan Raganowicz”) żyje, naprawdę nazywa się Janusz Różański, i mieszka w USA, w dodatku ledwie kilkaset kilometrów ode mnie! Podał mi też numer telefonu do niego. Natychmiast zadzwoniłem, ale okazało się,

że właśnie jego córka zabrała go i przeniosła gdzieś do szpitala a nikt nie wiedział dokąd. Wtedy jednak zacząłem dzwonić do szpitali i w końcu poprzez komputer (a nie było łatwo, bo w USA jest 578 Różańskich) udało mi się znaleźć pewną panią, która okazała się żoną Janusza i która skontaktowała mnie z ich córką. Janusz był już wtedy na łożu śmierci, nieprzytomny i nigdy z nim, niestety, nie zamieniłem ani słowa. Nawet nie jestem pewien czy dowiedział się, że go szukałem i znalazłem. Według jego córki nie reagował na moje nazwisko, na Brudzeń, milicję ani na Płock. Zmarł 9 grudnia 2005 r. i pochowany został z wojskowymi honorami (po II wojnie światowej służył w Armii Amerykańskiej, brał udział m.in. w wojnie w Wietnamie) na narodowym cmentarzu wojskowym w Arlington koło Waszyngtonu. W każdym razie mam wielką satysfakcję, że, podobnie jak mi, udało mu się uciec z Polski przed ubekami i że go odnalazłem żywego.